

Andrzej Malczewski

Gość z Polski



Andrzej Malczewski
Gość z Polski

Andrzej Malczewski

GOŚĆ Z POLSKI



Opracowanie całości: Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”

Copyright© by Andrzej Malczewski, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

e-book Wydanie I
Zielona Góra 2012
ISBN: 978-83-934146-4-2

Wydawnictwo „Drzewo Laurowe”
Zielona Góra
Księgarnia Internetowa „Skryby”
e-mail: redakcja@skryby.pl
www.skryby.pl

Wszelkie podobieństwo postaci bezpośrednio
występujących w powieści do rzeczywistych
osób jest przypadkowe.

1

Robert Baranowski miał swój jubileusz. Właśnie stuknęła mu piętnasty rok pracy w telewizji polonijnej. Na spotkaniu, które zorganizował tydzień temu dla kolegów z pracy z tej okazji, okazało się, że jest najstarszym dziennikarzem.

Znał to studio w Chicago jak własną kieszeń. Zawsze ten sam rytuał. Kosmetyka, kawa, ostatnie szlifowanie tekstu. Dzisiaj naprzeciwko niego siedział w fotelu starszy już mężczyzna w ciemnym garniturze. Włosy miał przyprószone siwizną. Dziennikarz obserwował go ukradkiem. Na pierwszy rzut oka sprawiał na nim wrażenie człowieka spokojnego i takim okazał się w rzeczywistości. Odbył daleką podróż. Przybył do Chicago z drugiej strony oceanu, z Polski. Przy picu kawy nawet nie drgnęła mu ręka. Była to rzadkość wśród debiutantów. Wymienili kilka grzecznościowych słów, a Robert udzielił mu kilka rad, jak dobrze wypaść w telewizji.

– Możemy zaczynać panie Michale? – spytał Robert ze źle ukrywanym akcentem amerykańskim.

– Tak. Jestem gotowy – odparł zaproszony do telewizji gość zadziwiającą mocnym głosem, jak na swój wiek.

– No to jedziemy!

Robert odwrócił się w stronę kamery i przybrał dobrane wypracowany, uśmiechnięty wyraz twarzy. Po chwili byli na wizji.

– Witam państwa! – rozpoczął dziennikarz. – W ten przecudny poniedziałkowy dzień majowy powróćmy znowu do wydarzeń sprzed pięćdziesięciu lat, które miały miejsce daleko stąd, w naszym rodzinnym kraju, a dokładnie w Zielonej Górze. Przypomnijmy, mieście słynnym onegdaj z organizowanych tam festiwali piosenki radzieckiej, które – chcąc nie chcąc – znała cała Polska. W tym to mieście, w czasie kiedy o festiwalach jeszcze nie było mowy, doszło do starć mieszkańców z siłami milicji na tle religijnym na skalę o jakiej nikt nie słyszał! Uczestniczyło w tym około pięciu tysięcy ludzi. Kością niezgody okazał się budynek, który zajmowała parafia katolicka, a który za wszelką cenę chciała im wydrzeć komunistyczna władza. Przebieg zajść omówiliśmy szczegółowo w naszym programie tydzień temu. Dzisiaj gościśmy w naszym studio uczestnika tamtych wydarzeń sprzed pół wieku, pana Michała Dobrowolskiego!

Dziennikarz zniżył głos, pochylił się lekko w stronę kamery, przyjmując ton poufale.

– Na marginesie muszę państwu powiedzieć, że nie często mi się zdarza siedzieć w tym studio oko w oko z prawdziwym bohaterem.

Po czym wyprostował się w fotelu, podnosząc znowu głos.

– Czy może pan powiedzieć, panie Michale, jak do tego doszło i jakie były skutki tych wydarzeń na przyszłość?

– Dzień dobry państwu – rozpoczął ze stoickim spokojem Dobrowolski. – Myślę panie Robercie, że jest pan świetnym showmanem, ale ja jestem zwykłym człowiekiem i nie aspiruję do roli gwiazdy show telewizyjnego. Nie po to tu przyjechałem z daleka. Osobiście nie byłem bezpośrednim uczestnikiem tych zajść. Znalazłem się tam, cóż... można powiedzieć przypadkowo. Mieszkalem wówczas w Poznaniu, gdzie studiowałem, a pojechałem

do Zielonej Góry odwiedzić swoją narzeczoną i tak oto zostałem świadkiem tych zdarzeń...

– A teraz rewelacja, moi Państwo! Pan Michał jest autorem zdjęć z tamtego pamiętnego dnia! Jak pan to zrobił!?

– Po prostu. Zabrałem z Poznania aparat fotograficzny mojego ojca i wykonałem szereg zdjęć tych zajęć. Zaznaczam, że fotografie te nie są najlepszej jakości i potwierdzają tylko to, co jest już znane z kart historii.

– Wiem, że pan później interesował się „wydarzeniami zielonogórskimi” i poświęcił wiele czasu badaniu okoliczności i przebiegu tych zajęć. Napisał pan też szereg publikacji na ten temat.

– Tak. To prawda.

– Proszę się więc podzielić swoimi przemyśleniami, które z ust bezstronnego, jak mniemam, obserwatora mogą mieć dla nas duży walor poznawczy.

Dobrowolski poprawił się w fotelu i zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

– Rok Pański tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty rozpoczął się spokojnie i wszystko wskazywało, że miał być pomyślny dla zbudowanej na zielonych wzgórzach doliny Odry Zielonej Góry. Położone na zachodnich rubieżach Polski i na szlaku komunikacyjnym pięćdziesięciotysięczne miasto wchodziło w fazę swojego rozwoju. Miało ono wszelkie potrzebne atrybuty, by stać się w szybkim czasie wzorem i przykładem dla innych miast Ziem Odzyskanych. Jednak było coś, co od dłuższego czasu spędzało sen z powiek miejscowym notablom. Prężnie rozwijająca się na swój sposób organizacja partyjna w tym niewielkim mieście wojewódzkim nie mogła znieść rywalizacji z małą parafią katolicką św. Jadwigi. Późny okazał się trud działaczy partyjnych, by odwrócić masy od „zabobonnych praktyk” i zmusić je do wyjścia z „mrocznych

krucht kościelnych". W samym centrum położonego na malowniczych wzgórzach miasta stał od kilkudziesięciu lat okazały, przepiękny budynek. Miał on wspaniałe sale widowiskowe, które wykorzystywali do przedstawień teatralnych parafianie. Wystawiali tam jasełka i szopki bożonarodzeniowe, organizowali naukę religii dla dzieci i młodzieży. Przygotowywane były tam dzieci do Pierwszej Komunii Świętej. Zbierały się w tym miejscu tercjarze i różne grupy modlitewne. Słowem dom ten, zwany Domem Katolickim, tętnił życiem! Stanowił najważniejsze centrum życia kulturalnego ludności w większości katolickiej. Był on alternatywą dla szarych „domów kultury” tamtej epoki i w rywalizacji z nimi bił ich na głowę. W dobie krzewienia przez państwo świeckiej kultury ateistycznej stanowiło to coś niesamowitego. I właśnie to było solą w oku władz komunistycznych. A co więcej, było to dla nich nie do zniesienia! Totalna porażka władz nowo utworzonego województwa na ziemiach odzyskanych! Co powiedzą na to towarzysze z Warszawy?!

Wtrącił się Robert:

– Wiemy z historii, że nie byli zachwyceni. Bodajże w lutym tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku przebywał w Zielonej Górze wysoki urzędnik z Urzędu do Spraw Wyznań i zalecił władzom lokalnym zlikwidowanie Domu Katolickiego. Taka też była polityka władz PRL zmierzająca do wywłaszczenia Kościoła Katolickiego w Polsce.

– Dokładnie. Rola Domu Katolickiego dla lokalnej społeczności była nie do przecenienia. Świadczy o tym choćby nieprzejednana postawa ówczesnych władz. Od piętnastu lat było tu nie tylko miejsce spotkań katolików, ale i kolebka polskości. I tu znajdziemy wyjaśnienie zdumiewającego oporu i determinacji ludności w obronie

ich Domu. Stanowiło to rzecz niesłychaną, by prowincjonalne miasteczko stawiało taki opór.

– Ówczesna prasa przedstawiała całe bolesne zdarzenie z trzydziestego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku jako wybryki chuligańskie – przypomniał dziennikarz.

– Takie były czasy. Dziennikarze z wielu względów nie mogli wtedy zachować obiektywizmu. Z upływem lat rzeczywisty przebieg zdarzeń nie budzi już wątpliwości. Ludzie spontanicznie stanęli w obronie Domu Katolickiego. Można powiedzieć, że wszystko rozpoczęło się, gdy w niedzielę dwudziestego dziewiątego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku ksiądz Kazimierz Michalski, proboszcz parafii podwyższenia świętej Jadwigi, poinformował lojalnie swoich parafian o zbliżającej się eksmisji Domu Katolickiego. Z tego, co mi zrelacjonowała jedna z osób uczestniczących w tej pamiętnej mszy świętej, to mówił mniej więcej tak: „A teraz mam dla was kochani smutną wiadomość z ostatniej chwili. Powiem tylko, że cokolwiek się zdarzy, nic nas nie rozłączy. Nasz trud i praca dla parafii nie pójdą na marne. Dobre drzewo rodzi dobre owoce. Jeśli nawet takie drzewo zostanie ścięte, to owoce zostaną i z ich nasion wyrosną nowe drzewa dla przyszłych pokoleń. Jutro ma być przeprowadzona eksmisja naszego domu spotkań...”. W kościele świętej Jadwigi zrobił się szum. Ksiądz Michalski gestem uniesionej ręki uciszył tłum i mówił dalej: „Możemy tylko w tej sprawie składać petycje do władz. Nie dajmy sobie go odebrać! Stańmy w pokojowej jego obronie! To jest nasz wspólny dom...”.

Dobrowolski na chwilę zawiesił głos i w zamyśleniu patrzył przed siebie. Po chwili mówił dalej:

– Słowa księdza Michalskiego okazały się prorocze.

Drzewo zostało ścięte, ale z owoców tego drzewa wyrosły nowe, równie urodzajne, których owoce jemy do dnia dzisiejszego.

– Notabene w budynku, który zajmował Komitet Wojewódzki Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej znajduje się obecnie siedziba biskupa – wtrącił dziennikarz.

– Tak jak w Nowej Hucie trochę wcześniej walczono o postawiony krzyż, tak w Zielonej Górze walczono o przestrzeń w życiu społecznym dla katolików. Zielonogórzanie pochodzili z różnych stron kraju i nie stanowili monolitu społecznego, a mimo to okazali zdumiewające więzi i jedność. Nie chodzi tu tylko o masowy udział w starciach z dnia trzydziestego maja, ale przede wszystkim o działalność Domu Katolickiego. Świadczy to o dużym zmyśle organizacyjnym tej ludności. W przeciągu zaledwie piętnastu lat po wojnie potrafili wytworzyć mocne więzi grupowe. Nie był to przypadek. Już kilka lat wcześniej dwadzieścia tysięcy ludzi „przemaszerowało” ulicami miasta w procesji Bożego Ciała. Świadczy to o niewiarygodnej żywotności tej ludności. Zielona Góra pod względem rozwoju społeczno-gospodarczego zajmuje obecnie wysokie miejsce w rankingach. Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: co by było, gdyby władze komunistyczne nie stłumiły działania katolików? Myślę, że to środowisko mogło stanowić zaczyn dla bujnego rozwoju kulturalnego regionu. Niestety, późniejsze represje niewątpliwie niekorzystnie wpłynęły na rozwój społeczny miasta i okolic. Niemniej wszelkie zabiegi socjotechniczne i propagandowe, łącznie z całą otoczką festiwalu piosenki radzieckiej, z całym szacunkiem dla zwykłych Rosjan, mam tu na myśli działania propagandowe ówczesnych władz, nie stłumiły żywotnego ducha tego miasta. Ludzie tu osiedleni pokazali kim są i w jakim kierunku

chcą iść. Sami określili swoją tożsamość. Okazali przywiązanie do katolicyzmu i wartości narodowych. Na kresy powojennej Polski przenieśli i zaszczepili stare wartości: „Bóg, Honor i Ojczyzna”, pieczętując to swoją krwią.

Michał Dobrowolski przerwał, sięgając po filiżankę z kawą.

– Rzeczywiście byli w starciach ranni, jak wspominaliśmy w audycji tydzień temu – zauważył Robert.

– Nie chodzi tu panie redaktorze o to, żeby w jakikolwiek sposób chwalić przemoc i walki uliczne. Nie w tym rzecz! To było tylko przykrym następstwem polityki władz. W tych wydarzeniach ucierpieli ludzie z dwóch stron barykady. Wszyscy oni byli Polakami. I to jest smutne, że ci ludzie zostali zmuszeni do bratobójczych walk. Nad tym należy ubolewać i prosić Boga, żeby nigdy się to nie powtórzyło.

– Na szczęście ofiar śmiertelnych nie było.

– Moim zdaniem to nie przypadek. Nie chodziło bowiem żadnej ze stron konfliktu o przelanie krwi. To wszystko jest przeszłością, ale żyje w sercach tych ludzi, ich synów i córek. Nowe pokolenia na tej ziemi mogą z dumą spojrzeć w przeszłość i brać przykład z tamtego pokolenia. A takie postaci, jak ksiądz Kazimierz Michalski, więzień Dachau, urastają do rangi symbolu. Słowem piękną historię napisało nam to pokolenie...

– Trzeba dodać, że współcześni zielonogórzanie są dumni ze swojej historii. Szczycą się duchem niezłomnym, który zamieszkał na tych wzgórzach zielonych. Ale czas nas goni proszę państwa. Musimy kończyć. Dziękuję za rozmowę! – zakończył dziennikarz.

– Ja również – odpowiedział Dobrowolski, lekko skinięwszy głową.

Robert Baronowski zwrócił się w stronę kamery.

– I tak nasz cykl zielonogórski zbliża się do końca. Dziękuję za uwagę i do zobaczenia!

Po chwili odczepił mikrofon i wyciągnął się w fotelu.

– Nieźle, co?! Dziwię się panu, panie Michale, że też chciało się panu przyjechać do Chicago z Polski na ten program.

Michał Dobrowolski dopił zimną kawę i sięgnął po kapelusz.

– Skorzystałem z zaproszenia, bo uważałem to za swój obowiązek wobec Polaków zamieszkałych w kraju, a przede wszystkim tych zamieszkałych w Ameryce.

– To się chwali! – rzekł, uśmiechając się dziennikarz.

– A tak poza tym... to moja żona pochodzi z Zielonej Góry. Obiecałem jej to.

– Rozumiem. To wszystko? – spytał dziennikarz zachęcającym głosem, wysuwając nieco do przodu brodę.

– Nie. Po prostu miałem taki kaprys.

Baronowski spojrzał na zegarek ze srebrną bransoletą, który zakładał na rękę wówczas, gdy przychodził do studia i uniósł krzaczaste brwi.

– Pora się zwijać – ożywił się i wyskoczył z fotela jak z procy, wsadził pod pachę plik papierów, które trzymał na szklanym stoliku, zrobił kilka kroków, raptownie się zatrzymał i odwrócił.

– Może zjemy razem lunch? – zwrócił się niespodzianie do gościa z Polski, który zajęty był uruchamianiem komórki.

– Nie jestem głodny, ale na drinka dam się namówić – odparł ten i ruszył za nim.

Opuścili budynek telewizji i samochodem Baranowskiego przeciskali się przez zatłoczone ulice city, rozmawiając o tym i owym. Dziennikarz zapalił papierosa i nastawił jakąś meksykańską muzykę w radio, kiwając głową do taktu.

– Przepraszam, nie spytałem, czy mogę zapalić – powiedział Robert, jednocześnie opuszczając szybę okna ze swojej strony.

– Prawda, ale możesz palić. Nie przeszkadza mi to. Szkoda tylko, że nie palisz cygar, pasowałoby to bardziej do tej muzyki – odparł Dobrowolski i dodał: – Mów mi Michał.

Dziennikarz przymknął do połowy okno.

– Robert Sum – powiedział, wypuszczając dym. – Wspominałeś, że prowadziłeś agencję detektywistyczną. Trafiały ci się mocne sprawy?

– Owszem. Nie licząc tych drobnych, to kilka zaginięć kota i jedno tajemnicze zabójstwo chomika w opuszczonym domu. Daleko jeszcze? Zaczynam żałować, że nie zabrałem ze sobą termosu.

– To tutaj amigo.

Zatrzymali się w podziemnym parkingu i wjechali windą na górę. Z przestronnego holu w stylu lat dwudziestych, przypominającego czasy prohibicji, weszli do sali oświetlonej sztucznym światłem, w kształcie rondla.

Na podwyższeniu, pod wyłożoną jasną boazerią ścianą, za fortepianem produkowała się ciemnowłosa artystka w purpurowej sukience. We włosach miała wpiętą białą wstążkę. Blade, szczupłe palce ślizgały się po biało-czarnej klawiaturze, wypuszczając na salę swingujące kawałki.

Usiedli przy stoliku, w pobliżu ukrytego w półmroku baru. Dziennikarz wyciągnął z kieszeni i położył na stół paczkę papierosów oraz zapalniczkę. Dobrowolski położył kapelusz na wolnym krześle i spytał:

– Co piją w Chicago po południu: kawę czy herbatę?

Gdy kończył zdanie, pojawił się, nie wiadomo skąd, kelner w dobrze skrojonym, ciemnym uniformie.

– Mówisz po polsku chłopcze? – spytał Robert, przeglądając menu.

– Jak sobie szanowny pan życzy – odparł lekko ochrypniętym głosem dwudziestokilkuletni mężczyzna o wydatnych kościach policzkowych i odstających niczym radary, słoniowatych uszach.

– To dobrze twardzielu. Macie coś dobrego do zjedzenia dzisiaj z polskiej kuchni? – Kelner dotknął palcem wskazującym brody i przymknął na chwilę oczy. – Nie popisuj się, nie pracujesz w lunaparku – przerwał mu zadumę dziennikarz.

– Może udałoby się skombinować schabowego z surowkami – odparł, pstrykając palcami.

Dobrowolski skinął głową, a dziennikarz złożył zamówienie:

– Dobra. Dwa razy schab twardzielu i żeby nie był surowy niczym stek lub spalony jak twój mały mózdzek od intensywnego myślenia.

Młody mężczyzna przyjął tę zniewagę ze stoickim spokojem. Przed odejściem od stolika spytał:

– Przynieś coś do picia, czy napije się pan w toalecie?
Dziennikarz zatrzasnął z hukiem włożone w zieloną okładkę menu.

– Spadaj twardzielu póki możesz to zrobić jeszcze o własnych siłach i z czystym pamperssem albo od razu zawołaj mamusię – warknął.

Kelner wyrwał mu kartę i zniknął.

Dziennikarz spojrział na Dobrowolskiego, który z zainteresowaniem oglądał swoje paznokcie.

W pół godziny później siedzieli na wysokich stołkach przy barze, trawiąc syty posiłek.

– Powiedziałem, że mam to gdzieś. Odmówiłem im. Nie będę pracował dla gangsterów – żalił się Robert przy szklaneczce whisky. – Dotychczas jakoś sobie radziłem, poradzę i teraz. Tak pomyślałem i zrobiłem.

– I wyszedłeś na swoje – powiedział Dobrowolski. – Prowadzisz na żywo swój program, który wymyśliłeś i zrealizowałeś, więc teraz nie pękaj. Co chcesz robić, handlować używanymi samochodami? – Dobrowolski popijał wolno swojego drinka i słuchał wynurzeń dziennikarza, który zaczął tracić grunt pod nogami, wątpiąc w sens dalszej swojej pracy w tym zawodzie. – Praca jak każda. Ktoś ją musi wykonywać, lepiej żebyś to robił ty, niż jakiś dupek z tupecikiem – pocieszał nowego kolegę Dobrowolski i opowiadał o sobie. – Ja nie zawsze miałem dobrą pracę, a był taki czas, że zwątpiłem, iż kiedykolwiek znajdę jakąś pocziwą, po tym jak wyleciałem z uczelni. W Zielonej Górze poznałem wspaniałą dziewczynę, miała na imię Ewa. Jeśli tylko znalazłem odrobinę wolnego czasu, jechałem do niej. Trafiła mi się taka okazja pod koniec maja, było to dokładnie trzydziestego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. – Poprawił się na stołku i wziął łyka whisky z wodą sodową. – Gdy

wysiadłem na stacji kolejowej, słońce było już wysoko. Nie było za ciepło jak na koniec maja, ale w sam raz na spacer. Szedłem sobie do centrum trzymając ręce w kieszeniach spodni. Pełny luz. Nic nie robiłem sobie z tego, że czeka mnie trudna sesja. Wdychałem rześkie powietrze, przesycone zapachem kwiatów. Małe, spokojne miasto, to nie to, co gwarny już o tej porze Poznań, który zostawiłem za sobą. Uwagę przechodniów wzbudzał aparat fotograficzny, zawieszony na mojej szyi. Dobrze, że mój ojciec nie widzi tego, jak paradyuję po Zielonej Górze z jego aparatem. Dałby mi nieźle w kość, ale, póki co, jest w pracy. Dodając sobie w ten sposób otuchy, po piętnastu minutach byłem już przed kamienicą Ewy. Zagwizdałem na palcach i stanąłem z zadartą głową, patrząc w okna na drugim piętrze. Z tyłu doszedł mnie łoskot, a potem potworny hałas, coś jak wrzawa z wielu ludzkich gardeł. Przez chwilę się zawahałem. Liga już ruszyła. Może pójść na mecz i pstryknąć parę zdjęć? Może uda mi się uchwycić gola? To by było dopiero zdjęcie cacy! Zadarłem ponownie głowę. Poruszyła się firanka w oknie obok. Przez chwilę widziałem małą twarz wścibskiej sąsiadki. Co to, gwizdać nie można? Przecież mamy wolność. Spojrzałem w lewo. Okno Ewy było zamknięte. Pewnie jeszcze śpi. Tak to zwykle kończy się nauka po nocach. Zdecydowałem, że zajrzę na mecz. Skierowałem się w stronę, skąd dochodziły odgłosy. Idąc, usłyszałem brzęk tłuczonego szkła. Czyżby przyjezdni kibice wybijali szyby w oknach swych rywali? Czyżby wzięli się za łąby? Ale gratka, będą nieźle fotki! U wylotu ulicy kilkanaście metrów przede mną pojawiło się kilka pochylonych sylwetek. Biegły w moim kierunku, oglądając się za siebie. O, robi się gorąco! Za nimi wypłynęła zza rogu szara ćma w mundurach milicyjnych, depcząc im prawie po piętach. Na tle

stalowych uniformów błyszczały białe pałki w rękach. Pędzili prosto na mnie, biegnąc chodnikiem i ulicą, więc uskokczyłem w bok i skryłem się w bramie. Uciekinierzy skręcili na najbliższej przecznicy w lewo. Na zakręcie jeden z nich, w beżowym swetrze, zahaczył nogą w wystającą krawędź studzienki kanalizacyjnej i wyłożył się jak długi na kocich łbach, prosto pod nogi biegnących za nimi milicjantów. Dwóch z nich nie zdążyło przez niego przeskoczyć, zahaczając stopami, stracili równowagę i upadli na bruk z wyciągniętymi do przodu rękami. Na nich zwalili się następni, tworząc efekt domina, potężny karambol ludzkich ciał. W ciągu zaledwie kilku sekund aż kłębiło się od milicyjnych mundurów na kawałku śliskiego bruku. Pstryknąłem parę zdjęć. Gdy się pozbierali, pobiegli dalej za uciekającymi. Dwóch z nich zostało, by pilnować zatrzymanego uciekiniera. Prowadzili go, trzymając za ręce. Na oko miał ze dwadzieścia lat, czarne kędzierzawe włosy kontrastowały z bledością jego twarzy.

– Zostawcie mnie. Ja niczego nie zrobiłem! – tłumaczył się zdyszonym głosem chłopak.

Próbował się wyrwać, rzucając się całym ciałem do przodu, krzycząc przy tym, by go puścili, ale mu się nie udało. Dostał za to kilka uderzeń pałkami po plecach. Głuche odgłosy razów i ludzkiego jęku odbiły się od ścian stłoczonych domów. Popędzili go dalej, tam skąd dochodziły odgłosy walki. Poszedłem za nimi.

Za rogiem wiele nie widziałem. Ulica była przesłonięta kłębam dymu ze świec dymnych. Zaczęły mnie szczypać oczy i palić gardło. Odruchowo przetarłem oczy, chwycił mnie atak kaszlu. Wnet wypłułem płuca. Co za świństwo! Wycofałem się z chmury gazu łzawiącego i oprąłem się o elewację domu. Przede mną rozciągał się istny plac boju. Stojący bliżej mnie tłum, cofając się przed kilkoma

szeregami uzbrojonej w pałki milicji, wyrywał gołymi rękami kostkę brukową i ciskał nią w stronę milicyjnych kordonów. Rzucane kamienie, będąc za ciężkie, przeważnie nie dochodziły celu, padając między walczące strony. Gdy doszedłem trochę do siebie, wykonałem kilka zdjęć.

Siły milicji ruszyły do szturmów i starły się z tłumem. Znowu ze strony sił porządkowych posypały się w kierunku ludzi pojemniki z gazem. Nastąpił ogólny zamęt, szyki mundurowych rozerwały się, protestujący mieszały się z milicją. Nieuzbrojeni mężczyźni, młodzież, a także kobiety, bici pałkami, zostali zepchnięci w głąb ulicy. Nie mieli szans w walce z wyszkolonymi siłami milicji. Panował wielki chaos. Ludzie przekrzykiwali się wzajemnie. Ktoś ranny darł się na całe gardło. Padały wyzwiska i obelgi. Przybywało z każdą chwilą ludzi. Wysoko nad głowami walczących zaczęły bić dzwony kościelne. Jednak nie zwracano na to uwagi.

Dla mieszkańców oddalonych części miasta był to sygnał, że coś się dzieje. Dzwony nieustannie biły na trwogę, sprowadzając coraz większe rzesze ludzi. Okna brunatnych, nieremontowanych od lat kamienic najeżone były głowami gapiów. Od czasu do czasu rzucano z nich jakimiś przedmiotami w milicjantów. Kiedy robiłem zdjęcia, ktoś z tyłu złapał mnie za rękaw i gwałtownie szarpnął. Poczulem, jak mnie ciągnie, trzymając za ramię. Próbowałem się wyrwać, ale uścisk był żelazny. Wepchnął mnie do bramy. Było to łukowate przejście od frontu pod trzypiętrową kamienicą. Z drugiej strony było podwórko. Potknąłem się o butelkę. Nie dochodziło tu słońce. W nozdrza uderzył mnie zapach stęchlizny i moczu.

Facet był potężny. Stanął szeroko na nogach i chwytając za pasek, podciągnął sobie spodnie.

– Wpadłeś chłopaczku.

Szybkim ruchem wyrwał mi aparat z ręki. Obejrzał go, wykrzywiając usta, jakby się brzydził.

– Co jest grane, chyba nie jest zakazane robienie zdjęć na ulicy? – Wyciągnąłem rękę po aparat.

– Ty mi tu nie ściemniaj chłopaczku.

– Niech mi pan natychmiast odda mój aparat i zapomnimy o wszystkim. W przeciwnym razie czekają pana kłopoty...

Uśmiechnął się, pokazując mi szparę między górnymi jedynekami. Z ulicy doszedł pomruk tłumu. Potrząsnął ręką z aparatem.

– To jest zachodniej marki aparat. Bardzo dobry i drogi aparat... Nie dostanie się takiego u nas. Skąd go masz, od Rajmunda?

Cały czas trzymając wyciągniętą rękę, powiedziałem:

– Nie pana sprawa. Dostałem od ojca. Jeszcze raz powtarzam, że będzie pan miał kłopoty. No?

– Jesteś od Rajmunda?

– To nie ma znaczenia.

– A właśnie, że ma.

Nabrał powietrza w płuca i głośno wypuścił.

– Rajmunda ludzie to lelki. Rajmunda ludzie to tcho-

rze... Schowali się do domów jak szczury. Boją się robić zdjęcia, stojąc na ulicy. Masz szczęście. Muszę przyznać, że nie boisz się ludzi na ulicy, ale musisz chłopaczku pamiętać o zasadach... Nie możesz stać z aparatem fotograficznym jak słup na środku placu. Rajmund cię tego nie uczył? Chcesz, żeby cię namierzyl i zlinczowali?

Olbrzym wyciągnął białą chusteczkę i wytarł nią sobie usta. Odgłosy dobiegające z ulicy trochę przycichły. Zrobiło mi się ciepło w marynarce. W końcu zbliżało się południe. Oczy mi szczypały i cały czas łzawiły. Otarłem sobie łzy rękawem. Facet podszedł do wylotu bramy, wystawił głowę i rozglądał się na boki. Trwało to jakiś czas. Jacyś ludzie przebiegli krzycząc. Ja powoli miałem tego dosyć.

Usiadłem na kamieniu wystającym z fundamentów i dłonie wsparłem na kolanach. Co tu się dzieje? Ludzie prowadzą wojnę z milicją w biały dzień. Słyszę od ludzi, że są niezadowoleni. Ba! Słyszę to codziennie, ale żeby aż tak? Przeważnie wszystko kończy się na nocnym słuchaniu radia Wolna Europa. Po nieprzespanej nocy trzeba rano wstać i iść do pracy lub szkoły. Błede gadki komuchów wpuszcza się jednym uchem i wypuszcza drugim. Byle do przodu. Po co od razu skakać sobie do gardła. Musieli ludziom w mieście nadebrać na odcisk, że tak się wściekli. Tych milicjantów są tutaj istne tabuny. Chyba sprowadzili ich aż z Warszawy. Mają ludzie problemy. Ciekawe, o co poszło? O cokolwiek poszło, na pewno nie miało to związku z meczem. Na dodatek zwałił mi się na głowę ten zawałodroga. Co to za facio? Żeby to był kto inny, zaraz dostałby ode mnie bęcki, ale z takim drągałem sam sobie nie poradzę. Kim on jest? Wygląda na to, że to tajniak, który nie ma całkiem dobrze pod sufitem. Niech mi tylko odda aparat, a wtedy może

się bujać. Może sobie ze swoim Rajmundem jechać nawet do Honolulu albo, po co wyjeżdżać, mogą się tutaj na miejscu wziąć za łyby... Co to będzie jak stary zorientuje się, że nie ma aparatu?

Po chwili facet wrócił blady i wściekły. Usta mu drgały. Podbiegł do ściany i uderzył w nią zaciśniętą pięścią. Rozległo się głośnie chłapnięcie i jakby zgrzyt kości. Miałem wrażenie, że dom się zachwiał.

– Cholera! – ryknął jak ranny jeleni i stał wpatrzony tępym wzrokiem w ścianę. Zgarbił się, głowę miał lekko pochyloną, a szczękę wysuniętą do przodu. Ręce zwisały mu bezwładnie wzdłuż tułowia. Widocznie rozluźnił uścisk, bo z ręki powoli wysunął się aparat i spadł na chodnik, wcześniej uderzywszy w but.

Schyliłem się i podniosłem aparat. Obejrzałem go ze wszystkich stron. Przykleiło się do niego trochę ziarenek piasku. Zdmuchnąłem je. Skórzana osłonka uratowała go. Był cały i chyba nieuszkodzony. Zresztą upadek zamortyzował but olbrzyma. Odetchnąłem z ulgą. Nie będę się musiał tłumaczyć staremu. Zawsze jeden problem mniej. Został olbrzym... Zrobiłem krok idąc ku wyjściu. Olbrzym zdawał się nie zwracać na mnie uwagi. Mówił jak gdyby do siebie.

– Co za kretyni, tak spieprzyć akcję! Nie poradzić sobie ze zwykłymi ludkami... Przecież te buraki przepędzą ich do wieczora na cztery wiatry! Jak nic będą musieli się wycofać z miasta.

Olbrzym podszedł do ściany i oparł się o nią czołem i ręką. Pod rozchyłonym płaszczem i marynarką zauważyłem, wystającą z czarnej skórzanej kabury, kolbę pistoletu.

Wyjrzałem na zewnątrz, walki przesunęły się w inne miejsce. Słyszał było wyraźne skandowanie tłumu:

„Oprawcy! Oprawcy!“. Przed moimi oczami roztoczył się widok pobojuwiska. Plac był zaśmiecony różnymi przedmiotami: kawałki gruzu, kamienie, jakieś papiery, parasolka. Część jezdni była zryta, jakby obdarta ze skóry. Wyrwano z niej kostkę brukową. W miejscach po niej świeciły żółte plamy żwiru, który też rozniesiony był przez ludzkie stopy na wszystkie strony. Na środku ulicy leżała poplamiona krwią i wywrócona na lewą stronę marynarka w kratę. Tu i ówdzie kręciły się gromadki gapiów. Potknąłem się o kamienną kostkę bruku i wyłożyłem jak długi na drodze. Aparat fotograficzny wypadł mi z rąk i poleciał do przodu. Uderzyłem kością policzkową i jarzmową w twardą powierzchnię. Zazgrzytały mi zęby. Ktoś mi chlasnął czarną farbą w twarz. Czułem, jak wchodzi mi w głowę tępe przecinaki.

Przez chwilę leżałem przytulony do zimnych kamieni. Podniosłem się i usiadłem. Sprawdziłem głowę. Z nosa poleciała mi krew. Przyłożyłem chusteczkę do nosa. Głowa była cała, tylko poobijana. Spojrzałem przed siebie. Zagryzłem wargę. Dwa metry dalej leżał aparat mojego ojca. Markowy aparat, który dostał w prezencie od wuja. Już z daleka widziałem, że jest w marnym stanie. Wstałem i podniosłem go. Był uszkodzony. Przez obiektyw przechodziła szczelina pęknięcia. Próbowałem nim pokręcić. Coś blokowało. Więcej zdjęć dzisiaj nie zrobię. Zastanawiałem się, co robić dalej.

Przechodząc zrezygnowany koło bramy, mimowolnie do niej zajrzałem. Olbrzym siedział pod ścianą. Nogi miał podgięte. W lewej ręce trzymał piersiówkę, która ginęła w jego wielkiej dłoni. Podniósł ją do ust i przechylił. Grdyka wielkości jabłka przesunęła się na jego szyi, gdy połykał. Powoli ruszył głową i spojrzał na mnie bez entuzjazmu.

– Nikomu ani mru mru – rzekł, poruszając ręką z piersiówką.
– Skąd jesteś?

– Z Poznania.

Wzrok miał nieco szklisty, ale nie wyglądał na pijanego. Pewnie, żeby się upić musiałby wypić całe wiadro wódki. Obejrzałem jeszcze raz aparat. Naprawa będzie kosztowała kupę kasy. Jeżeli w ogóle da się to naprawić. Chyba odczytał moje myśli.

– Straciłeś sprzęt? Nie martw się. Każdemu może się to zdarzyć. Podszedłem i kucnąłem koło niego.

– O co właściwie tu chodzi?

– Nie słyszałeś? Mało wiesz chłopaku, a może to i dobrze. Zabrali ten ich dom modlitwy.

– Kto zabrał?

– Władze. Potrzebny jest im budynek do innych celów.

– I co, całe miasto się tak obruszyło?

– No widzisz, co za ludzie.

– Mogli im zostawić, przecież tylko się tam modlili. Komu to może zaszkodzić?

– Widzisz chłopaku, oni nie tylko się tam modlili, ale także knuli spisek. – Olbrzym pociągnął z piersiówki i podał mi.

– Chcesz?

– Nie dzięki.

– Słusznie. Na służbie się nie pije.

Najwyraźniej wziął mnie za kogoś innego, niż byłem w rzeczywistości.

– Do niczego się nie przydasz z tą zepsutą maszynką.

Schowałem chusteczkę, która przestała mi być potrzebna. Z nosa krew leciała mi tylko przez chwilę. Nie powinienem go pytać. Zaryzykowałem.

– Dlaczego nie robisz zdjęć na ulicach?

– Mam od tego ludzi chłopaczku, takich jak ty – wes-

tchnął kończąc.

Z zewnątrz przez chwilę nie dochodziły żadne odgłosy. Przejechał samochód z niesprawnym tłumikiem i chyba wypłoszył wszystkie koty w okolicy.

– Schrzanili sprawę. Trzeba było zająć budynek wcześniej rano, gdy miasto jeszcze spało – mówił jakby do siebie.

Przerwał. Spojrzał na moje buty. Odwrócił się w stronę ulicy.

– Prowadziliśmy obserwację domu parafialnego od dłuższego czasu. Wiedzieliśmy kto w nim pracuje, czym się zajmuje, kiedy przychodzi i wychodzi. Mieliśmy listę rezydentów i gości. Znaliśmy ich adresy, zajęcia. Specjalna grupa zajmowała się wyszukiwaniem ich słabości. Wiedzieliśmy o nich wszystko, a przynajmniej to, co uważaliśmy za istotne. Śledziliśmy każdy ich krok... A co robią nasi dowódcy? Czekają, aż ludzie wyjdą na ulice i udadzą się do pracy...

Machnął ręką, jakby odganiał muchy. Widocznie przejął się całą sprawą i musiał się wygadać.

– Ty od niedawna w służbie? Nigdy cię wcześniej nie widziałem...

Spojrzał w moim kierunku, świdrując mnie oczami. Na twarzy wyszły mu wypieki. Miał mocny, ciemny zarost. Pewnie codziennie musiał zmieniać żyletkę. Postanowiłem brnąć dalej.

– Od kilku miesięcy. Przyjęli mnie na próbę, ale nie mam z nikim na ten temat rozmawiać, nawet ze swoimi.

Zrobiłem tak tajemniczą minę, na jaką mnie tylko było stać.

– I pewnie myślisz, że zostaniesz asem wywiadu?

Zmarszczył nos i wyszczerzył zęby, a z jego gardła wydobył się odgłos skrzypiących drzwi, otwieranych i zamykanych przez kogoś jakby na złość. Już drugi raz mo-

głem podziwiać jego uzębienie.

– Nie ma lekko. Musiałbyś się wykazać czymś ekstra, jakimś osiągnięciem, bądź też mieć plecy... Tak jak ten twój Rajmund.

– Nie interesuje mnie Rajmund. Robię swoje. To wszystko.

– Entuzjasta się znalazł. Nie masz szans, co najwyżej będziesz zwykłym ucholem, mikrofonem do zadań specjalnych, sprzętem jak ten nieszczęsny aparat fotograficzny.

Postanowiłem zmienić temat.

– Co oni takiego zrobili w tym domu, że tak nasi się uwzięli, żeby go im zabrać? Co mogły robić dewotki z dziećmi? Produkować granaty, broń chemiczną...

– My nie jesteśmy tu od myślenia – uciął. – Są od tego inni. Jesteśmy małymi trybikami w maszynie departamentu trzeciego ministerstwa spraw wewnętrznych. Zwalczanie idei wrogich państwu. To nasze zadania. Mówi ci to coś? Księża nie powinni wyzierać z kościoła, mieć ludzi. Budujemy społeczeństwo oświecone, bez przesądów. Nie są potrzebne im budynki. Powinien wystarczyć kościół.

– Podobno w demokracji można robić co się chce – wtrąciłem. – Jest wolność sumienia i wyznania.

– A co to jest sumienie chłopaczku? Czy ty dobrze trafiłeś... Mogłeś lepiej zostać nauczycielem i prawić dzieciom w szkole dyrdymały o demokracji. Tam to by ci jakoś przeszło. Jesteś na froncie, na linii ognia. Tu nie ma żartów. Wóz albo przewóz.

Wstałem, zrobiłem parę kroków i odwróciłem się.

– Ja na ich miejscu zrobiłbym to samo. Bronię swego, tak? Od kiedy tam są? Przecież nie od wczoraj, prawda?

– Nie podobasz mi się. Tam rozwalają kamieniami

naszych za to, że bronią porządku. Ci na zachodzie już zacierają ręce, że coś się kroi u nas, zamieszki, mała rewolta. To bardzo niebezpieczne dla nas.

– O niczym nie wiedzą, bo i skąd. Dziennikarze zagraniczni tu nie przyjeżdżają. O to się nie martw. Od jak dawna prowadzą tę działalność?

– Od początku. Zajęli go zaraz po wojnie. Po opuszczeniu miasta przez Niemców budynki użyteczności publicznej świeciły pustkami. Nowa władza była w stanie zająć tylko część z nich. Resztę wzięli ludzie. Potężny budynek w środku miasta trafił w ręce Kościoła. Utworzono parafię pod wezwaniem świętej Jadwigi. Rządził nią ksiądz Michalski, który przywędrował tu wraz z innymi. Mnie osobiście to też nie przeszkadza, ale od tego są analitycy partyjni. Wiedzą, co jest lepsze dla kraju.

Na podwórku, za bramą koło śmietnika kot bawił się myszą. Przyduszał ją łapkami, a ta półżywa próbowała uciec, ale nie mogło się to jej udać. Nie z takim przeciwnikiem.

– O Michalskim słyszałem, że to facet z charakterem – podjąłem dalej.

Olbrzym przez chwilę nic nie mówił. Sapał ciężko. Nie. Zdecydowanie nie mógł być pijany po takiej ilości alkoholu, cokolwiek tam miał w piersiówce. Chyba, że wydudlił coś wcześniej, jeszcze przed akcją. Co chwilę było słychać kroki od ulicy. Drewniana, dwuskrzydłowa brama była rozchylona. Przez nią wpadało światło do wąskiego tunelu, gdzie byliśmy, i który z drugiej strony był otwarty na małe podwórko. Stanąłem koło tajniaka i włożyłem ręce do kieszeni.

– Trzeba przyznać, że był aktywnym pionierem. Przyczynił się znacznie do zasiedlenia się ludności na tych terenach, w tym sensie, że łatwiej było im się tu osiąść

i wrosnąć w glebę. Tu była w zasadzie pustynia. Nie można było im zabronić praktyk religijnych, a zresztą władza była wtedy słaba.

– Nadal jest słaba – wtrąciłem – jeżeli nie popierają jej tutaj ludzie. A co będzie, jak bunt rozprzestrzeni się na inne miasta?

Spojrzał na mnie z niesmakiem.

– No to po nas – odparł. – Będziemy szlifować chodniki do emerytury, jak nas wcześniej nie wyrzucą za niedopięcie guzika lub coś w tym rodzaju. Jeśli nie dadzą sobie rady dzisiaj, to na pewno bunt przybierze na sile. Mogą wówczas przyłączyć się ludzie z sąsiednich miejscowości.

– Myślisz, że nie dadzą rady?

– Z pewnością przyjdą posiłki, duże posiłki, ale taką metodą jak dotychczas to nie zdziałają zbyt wiele.

Zmarszczył czoło i zmrużył oczy. Na jego twarzy pojawiło się napięcie, policzki nadęły się. Nabrał głęboko, ze świstem powietrza. Chwycił ręką swoje lewe udo i zacisnął dłoń tak silnie, że aż kostki na niej zrobiły się białe.

– Coś nie tak? – spytałem.

– Pamiątka z wojny. Odłamek utkwiał mi w nodze.

– Nie mogli ci go wyjąć? – umyślnie zwróciłem się do niego per ty. – W końcu to dwudziesty wiek. Na twoim miejscu dałbym sobie wydłubać to paskudztwo. Nie jesteś taki stary, załapiesz się na twista – zażartowałem.

– Mów mi Wolf. Pewnie słyszałeś o mnie od chłopców. A na ciebie jak mówią?

– Dla kumpli jestem Oczko – wymyśliłem ksywę na poczekaniu.

– Swego czasu, Oczko, słuchałem swingu.

– Glen Muller i jego paczka. Przecież to imperialistyczna muzyka.

– Nie czadź mi tu. Wtedy to byli sojusznicy. A ty kogo słuchasz?

– Elvisa Preslya. Ostatnio dzieliło mnie od niego tylko tysiąc kilometrów.

Spojrzał na mnie z ciekawością.

– W Zachodnich Niemczech odbywał służbę wojskową – wyjaśniłem. – Wstydź się, nie odrobiłeś tego zadania!

– Pilnuj swego nosa. Jak cię złapią na słuchaniu Wolnej Europy, to bekniesz. Muzyka jest w porządku, ale to żołnierz amerykański. Może będziesz musiał stanąć z nim oko w oko ze spluwą w rękę. A wtedy ty albo on, jak to na wojnie.

– Spodziewasz się trzeciej wojny światowej, chyba jej nie wywołasz?

– Spadaj. Zrobią to inni, tacy jak ci co wyszli na ulicę.

– Wiesz co, coś mi się tu nie widzi – rzekłem. – Odwilż, kult jednostki potępiony, a tu takie podchody do Kościoła. Wiesz coś o tym? To wszystko razem nie pasuje. W Nowej Hucie nie pozwalają wznieść kościoła, chociaż ludzie tego chcą. Zaraz po wojnie z tego co wiem było inaczej. Podobno Bierut nawet brał udział w procesji Bożego Ciała. Co to za zmiana taktyki? Czy należy uznać dotychczasowe postępowanie władz za z gruntu fałszywe?

Zdjąłem marynarkę i trzymając ją w ręce, chodziłem parę kroków w tę i z powrotem. Zaczynało mnie ponosić.

– Co się tu dzieje? Boicie się księży? Co wam mogą zrobić? A jak będę się chciał zapisać do kółka różańcowego, to czy nie będę miał prawa spotykać się w budynku swojej parafii? Ba! Chyba, że parafia nie będzie miała żadnego budynku... Poza kościołem wierni będą się mogli spotykać tylko pod płotem albo najlepiej na cmentarzu, żeby nikt nie widział ich modłów, bo mogą ranić uczucia

niewierzących członków partii.

Wolfowi to się nie podobało, ale słuchał co mówiłem dalej.

– Jak bym widział coś takiego, jak zabierają mój lokal, w którym spotykam się z przyjaciółmi, to też bym się wściekł, a jak dostałbym jeszcze pałą przez łeb, to nie odpowiadałbym już za siebie.

– Myślisz, że oni są tacy niewinni? Idź i porozmawiaj z nimi. Powiedz im, że dostaną inny budynek w zamian. Tylko najpierw spisz testament, bo zostaną po tobie tylko brudne skarpetki. Myślisz, że to jest tylko nasze widzimisię? Otóż nie! Parafia coraz bardziej się organizowała, zajęła pomieszczenia budynku na Powstańców Wielkopolskich, a apetyt miała coraz większy. Jasełka, przedstawienia teatralne, co jeszcze? Czekać tylko jak ksiądz utworzy teatr albo jeszcze lepiej operę! W centrum powinny się znajdować urzędy, a nie kościoły!

– Co, kościoły też chcecie zająć? Przerobicie je na magazyny, jak w Związku Radzieckim?

Spojrzenia naszych oczu spotkały się gdzieś w powietrzu w połowie drogi. W jego oczach mignęło coś twardego i zaraz zgasło. Może kiedyś miał więcej entuzjazmu.

– Kilka lat temu inaczej bym tobą rozmawiał...

Widziałem, jak coś w nim pękło. Może jakieś stare wspomnienie powróciło z dużą siłą i wstrząsnęło nim gwałtownie. Nie wiem. Wiem natomiast, że trafiłem go.

– Co byś mi zrobił, gdybyś mnie spotkał wcześniej? Dałbyś mi kulkę w łeb w takiej bramie jak ta i wrzucił do głębokiej wody? – mówiłem mu to, patrząc prosto w oczy. – A może byś mnie zawlókł na komendę i tam zatłukł...

Złapał mnie za ramię. Zrobił to tak szybko, że nie zdążyłem się odsunąć. Potworne kleszcze mogły zmiażdżyć

mi rękę w każdej chwili.

– Ciekawe, czy najpierw łamiesz ręce, czy wyrywasz paznokcie? Śmiało, użyj sobie. Taka okazja może już ci się nie trafić.

Upuściłem marynarkę na bruk. Wypadł z niej grzebień, zapalniczka, papierosy i legitymacja studencka. Chciałem ją podnieść, ale została zakryta czarnym butem. Schylił się i wziął ją do ręki. Obejrzał uważnie. Było tam moje zdjęcie. Podniósł wzrok na mnie, po czym pozwoli schować legitymację do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Co tu robisz? – spytał, jakby widział mnie po raz pierwszy.

– To moja sprawa.

Nie miałem zamiaru mu się tłumaczyć. Najwyżej zamkną mnie i dadzą mi wycisk. Nieciekawa perspektywa, ale jakoś to przeżyję. Schyliłem się i podniosłem grzebień, papierosy i zapalniczkę. Wsunąłem je do kieszeni spodni. Wyciągnąłem z paczki jednego papierosa, był mocno nabity tytoniem. Zastanawiałem się, czy go zapalić.

– Marnujesz sobie zdrowie.

– Ty też tą gorzałą – odciąłem się.

Olbrzym wstał. Był o dwie głowy wyższy ode mnie.

– Idziemy. Tylko nie rób żadnych sztuczek.

Popchnął mnie lekko w kierunku ulicy. Chcąc nie chcąc musiałem iść. Włożyłem w usta niezapalonego papierosa i ubrałem marynarkę. Wyszliśmy na ulicę. Pojedynczy ludzie i grupy zmierzały na Plac Wielkopolski. Wszyscy byli podekscytowani, gestykulowali i żywo opowiadali o tym, co się działo poza ich oczami. Niektórzy z nich mieli porozrywane koszule, poplamioną krwią odzież. Pojawiały się też umorusane, czerwone od krwi twarze i ręce. Naraz ludzie zaczęli się cofać. W

końcu uciekać. Nowa fala ludzi napłynęła z Placu Wielkopolskiego. Ich strumień porwał nas w przeciwnym kierunku. Z tyłu dochodziły przerażające odgłosy wyzwisk, wściekłych okrzyków. Milicja z oddziałami ZOMO rozpędzała protestujących.

W ścisku zostaliśmy rozdzieleni z olbrzymem. Tłum rozproszył się na najbliższej przecznicy na wszystkie strony. Ludzie ukrywali się gdzie się tylko dało, wbiegali do klatek schodowych, na podwórka, w bramy i do piwnic, inni schowali się w kościele, a jeszcze inni pobiegli dalej. Za uciekającymi runęła lawina umundurowanych oddziałów milicji i ZOMO, okładając gdzie popadło cywilów, którzy zostali w tyle. Wśród gęstwiny ludzkich twarzy mignęła mi znana twarz. Obróciłem się w tym kierunku. Po drugiej stronie ulicy, tuż pod ścianami kamienic zauważyłem Ewę. Zacząłem się przeciskać w jej kierunku. Po chwili byłem przy niej. Chwyciłem ją za ramię i przekrzykując straszny gwar, ryknąłem:

– Chodź ze mną!

Pociągnąłem ją w bok w wąską uliczkę. Obróciłem się, za nami nie było widać milicji. Wbiegliśmy na podwórko z tyłu jednopiętrowego domu. Weszliśmy przez tylne drzwi do klatki schodowej.

– Przeczekamy tu. Może nas nie znajda. Nic ci nie jest? – spytałem.

Ewa była wzburzona. Usta miała rozchylone. Dolna warga jej lekko drżała. Niebieskie oczy były wilgotne i przeszywały mnie bezlitośnie na wylot.

– Gdzie się podziewałeś?! Czekałam na ciebie od rana...

Zrobiło mi się strasznie głupio. Co mi strzeliło, żeby zobaczyć mecz? Zagryzłem wargę. Pewnie się martwiła i wyszła mnie szukać.

– Jak zwykle nie wiesz co powiedzieć. Oszczędzę ci tego, nie musisz już nic mówić – powiedziawszy to, odwróciła się na pięcie i zbiegła szybko po schodach w stronę ulicy.

– Tam jest milicja! – krzyknąłem, lecz było za późno. Ewa otworzyła drzwi i była już na ulicy.

Pół godziny później dwóch tajniaków prowadziło nas przez pobożowisko ulic. Po plecach przechodziły mnie bolesne prądy. Prawy bark miałem zdrętwiały. Cały czas czułem paraliżujące uderzenia pałki milicyjnej. Ewie na szczęście nic nie zrobili. Tylko popchnął ją zomowiec.

Wyższy z nich trzymał mnie za rękę, którą wykręcił mi z tyłu na plecy. Miał nieświeży oddech i kasłał co chwilę. Ewa prowadzona była za ramię przez młodego blondyna w świeżo wyprasowanych spodniach i marynarce w kratę, który w innych okolicznościach mógłby uchodzić za dandysa. Był zdecydowanie delikatniejszy od pierwszego. Trzymał Ewę wyżej łokcia dwoma palcami białej, wypielęgnowanej dłoni.

Zaprowadzili nas do miejsca, gdzie stało dużo samochodów milicyjnych. Zatrzymaliśmy się przy jednym z nich, obciążniętym plandeką, przystosowanym do przewozu osób. Świeciło słońce i było ciepło, jak to zazwyczaj bywa w piękny wiosenny dzień. Tam nas zrewidowali. Kazali nam wszystko wyjąć z kieszeni. Musiałem wydać im papierosy, zapalniczkę i oczywiście aparat fotograficzny ojca. Wszystko położyłem na murku przy chodniku. Zostawili mi na pociechę grzebień

– Możesz sobie na nim zagrać, jak będzie ci nudno w celi – dowcipkował wysoki tajniak, który oglądał wszystkie rzeczy bardzo dokładnie, biorąc je do ręki. Z

aparatu wyciągnął kliszę i położył obok. Zapalniczkę podniósł na wysokość oczu i obracał ją palcami jak cenny diament. Na szczęście Ewie dali spokój, bo była tylko w sukience. – Zippo. Wygląda na oryginalną. Skąd ją masz, tatuś? – spytał, mrużąc oko.

– Ukradłem – odparłem.

– Prawie nowa. Wiesz ile można dostać za nią na pchlim targu? – Nie odpowiedziałem. – Można za nią dostać tuzin zapalniczek. Pewnie o tym nie wiedziałeś. – Położył ją na żółtej, kościstej dłoni i kilkakrotnie podrzucił, odwracając głowę w drugą stronę. – Napełniona. Mam rację tatuś? Pełna po brzegi, jak napita pchła. Ja bym jej nie nosił ze sobą na miasto, bo to zbyt niebezpieczne. Za dużo kręci się złodziei. – Spojrzał na mnie troskliwie. – Powiedz mu Filut – zwrócił się do partnera, który patrzył mętным wzrokiem przed siebie.

Na małej, bladej twarzy Filuta malował się ledwie dostrzegalny uśmiech. Widocznie lubił swoją pracę i swojego dowcipkującego partnera.

– Kiedy wreszcie to się skończy. Puśćcie nas.

Zniecierpliwiona Ewa próbowała im przemówić do rozsądku, robiąc krok do przodu. Jasnoniebieskie oczy kontrastowały z opaloną, brązowo-szarą skórą jej twarzy. Gdy gestykulowała zauważyłem, że drżą jej ręce. Zignorowali ją.

– Ja bym na twoim miejscu tatusiu skakał do góry – mlasnął uradowany wysoki. – Też bym wziął najlepszą zapalniczkę na randkę. Za moich czasów imponowało się dziewczynom zegarkiem. Był nie do zastąpienia w każdej sytuacji. Umawiasz się na spotkanie. Czekasz w wyznaczonym miejscu i spoglądając na zegarek, widzisz jak nadchodzi ona. I ona już wie, że masz zegarek i że nie jesteś powsinoga, ale sprząciarz, kapujesz? To

nie zwykły zegarek, ale z sekundnikiem, datownikiem, słowem szwajcar.

Pstryknął zapalniczką i wolno pokręcając, maksymalnie zwiększył ogień. Doszedł mnie zapach benzyny. Przez chwilę wpatrywał się w niego. Zgasił zapalniczkę i skrył ją w dłoni, którą puknął mi w pierś.

– Co chcieliście podpalić? Tylko mówcie prawdę!

– My nie jesteśmy razem. Zwinęliśmy nas z ulicy, biorąc za parę. To jeszcze dziecko. – Wskazałem ruchem głowy na Ewę. – Co miałem z nią robić, popalać w bramie papierosy?

Wysoki zerknął na Ewę. Trzymała ręce splecione na piersiach. Była drobna i mogła uchodzić za młodszą, niż była w rzeczywistości. Chyba to kupił.

– Po co brałeś zapalniczkę? – tym razem pytanie było do mnie.

– Żeby podpalić Raistag – odpaliłem.

Dandys zakołysał się i pochylił do przodu, zrobił przy tym krok do tyłu i tupnął nogą. Gdy się odchylił miał szeroko rozdziawione usta, wyjąc ze śmiechu. Zanosząc się ze śmiechu, bił się rękami po udach, jednocześnie podskakując. Stojąca obok Ewa wyglądała na bardziej przerażoną, niż rozbawioną.

Wysoki wyszczerzył zęby.

– Filut tak zawsze cieszy się na akcji. Moim zdaniem w ten sposób się rozładowuje – wyjaśnił nam.

Kilku milicjantów stojących przy najbliższym samochodzie zwróciło głowy w naszą stronę. Jeden z nich powiedział coś pod nosem, wskazując na nas brodą. Odwrócili się i nie zwracali sobie więcej nami głowy.

– Twardziel z ciebie. – Wysoki oparł się o samochód, patrząc mi w oczy. – Rozumiem.

Obok nas kilku milicjantów przeszło ulicą, prowadząc

dwóch mężczyzn. Jeden z nich był w czerwonym swetrze, o numer za małym, który rozciągnięty był do granic wytrzymałości na szerokich barach. Mężczyzna miał około trzydziestki i ciężko stąpał na lekko pałkowatych nogach. Starszy i wyższy od niego był drugi zatrzymany, żyłasty robotnik o surowym spojrzeniu spod krzaczastych brwi. Był w szarej koszuli, wyciągniętej w szarpaninie ze spodni. Milicjanci prowadzący ich za ręce zatrzymali się koło jednego z samochodów. Było ich czterech, umundurowanych, z pałkami trzymanymi kurczowo w rękach tak jakby tylko one mogły zapewnić bezpieczeństwo.

Zbliżył się do nich milicjant o szpakowatych włosach i przez chwilę z nimi rozmawiał. Polecił zatrzymanym, żeby pokazali ręce. Robotnik wyciągnął ręce przed siebie, mruczając coś, zaś młodszy nie chciał pokazać, kręcąc przy tym głową z szyderczą miną. Szpakowaty wyskoczył do przodu i uderzył go z otwartej ręki w twarz. Kłapięcie rozniosło się po ulicy. Mężczyzna w czerwonym swetrze wysunął głowę i splunął na szpakowatego, zanim ten zdążył się cofnąć.

W sekundę później milicjanci bez słowa zaczęli pałować mężczyznę gdzie popadło. Zasłaniał on głowę rękami. Po dobrej minucie osunął się na kolana. Wówczas szpakowaty pchnięciem nogi przewrócił go na ziemię i kopał obiema nogami w plecy i brzuch, klnąc przy tym obficie w stronę leżącego, który przestał się ruszać. Potem zostawili go i zwrócili się do robotnika. Traktowali go teraz brutalniej, popychając i szturchając.

– Taki twardziel jak i ty – rzekł wysoki. – Tylko nie radzę płuć, bo Filut jest ostry.

Ewa, blada ja kreda, patrzyła z rozchyłonymi ustami jak zomowcy wrzucają pobitego mężczyznę, niczym worek z kartoflami, do części bagażowej samochodu. Trzę-

sła się jej broda. Żyłasty robotnik sam wskoczył do budy. Zwróciłem się do wysokiego.

– Za co dostał?

– Miał brudne ręczki – odpowiedział.

– Nie wiedziałem, że sprawdzacie stan higieny.

– Ten, kto rzuca kamieniami w milicjantów, ma brudne ręce. Pomyśl tatuś, nie ma lepszego dowodu na łobuza, jak zabrudzone od ziemi ręce.

– Zawodny dowód. Brudne ręce może mieć ogrodnik albo ktoś, kto dotykał ziemi. Dlaczego nam nie sprawdzacie rąk?

– Jesteś pewien, że masz czyste?

Zerknąłem na ręce Ewy. Były czyste. Wyciągnąłem przed siebie ręce i pokazałem z dwóch stron wysokiemu.

– Nie rzucałem kamieniami.

Tajniak popatrzał na moje ręce i obejrzał moje buty.

– Zdążyłeś je wyczyścić. Za to spodnie masz brudne i poszarpane. Chyba nie powiesz, że czołgałeś się na ulicy dla zabawy. – Spojrzał na mnie z wyrazem wyższości. – Masz szczęście, że nie trafiłeś do nich. – Skinął głową w stronę, gdzie stali milicjanci, którzy pobili faceta w czerwonym swetrze.

– Miej oko na nich. – Wysoki kiwnął do Filuta i odszedł, znikając za samochodem.

Filut zmierzył nas od stóp do głów, wsadził ręce w kieszenie spodni i stając w rozkroku, utkwiał wzrok ponad nami. Stanowczo nie należał do rozmownych. Biło od niego niezbyt dobrze ukrywane poczucie wyższości. Był młodym człowiekiem tak jak my i pewnie słuchał tej samej muzyki co my, chodził na zabawy, do kina, gdzie się śmiał do rozpuku na „Zezowatym szczęściu” tak jak i my, ale mimo wszystko był inny. Miał na pewno maturę i za sobą kurs szkoleniowy w szkole dla funkcjonariuszy